

W 65-lecie odzyskania niepodległości

W hołdzie Ojcom i Dziadom

WARSZAWA (PAP). 11 bm. obchodzone uroczystości w całym kraju 65. rocznicę odzyskania niepodległości. W miejscach pamięci narodowej, pod pomnikami, na mogiłach bojowników o niepodległość zapłonęły znicze. Delegacja społeczeństwa złożyła kwiaty w hołdzie tym, którzy walką i patriotycznym trudem przyczynili się do odrodzenia niepodległego bytu państwowego. Na okolicznościowych uroczystościach przypominano historię państwa, wydane 65 lat, kiedy Polska jako niepodległe państwo powróciła na mapę Europy po 123 latach zaborów. Rocznicą była też okazja do historycznej refleksji nad przeszłością i współczesnością naszego kraju. Uroczystości odbywały się pod patronatem Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Spółczesność Warszawy oddała hołd pamięci bohaterom, pokoleniom Polaków,

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)



Wczoraj na cmentarzu Rakowickim przedstawiciele PRON, delegacja zakładów pracy, młodzież szkolna złożyli zniczyki — premiera Tymczasowego Ludowego Rządu Głównego Związku Polaków w Polsce i prezesem Haliną Auderską na czele.

— Śródmieście, władz, organizacji społeczno-politycznych wieńce i wianki kwiatów pod pomnikiem Ignacego Dąbrowskiego i wianki w Lublinie oraz pod Mauzoleum Żołnierzy Poległych w Wojnie Światowej 1914—1918. Zapłonęły znicze, harcerze zaciągali honorowe warty. Orkiestra kolejarzy odegrała hymn narodowy. (bb)

Fot. Otto Link

Problemy środowiska literackiego

WARSZAWA (PAP). 11 bm. minister kultury i sztuki Kazimierz Żygulski przyjął członków Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich z prezesem Haliną Auderską na czele.

Przedstawiciele ZLP przedłożyli postulaty i prośby o zwiększenie pomocy państwa w rozwiązywaniu tych problemów w oparciu o wspólnie, w krótkim czasie opracowany wykaz spraw bieżących i wydawniczych pisarzy.

Minister Żygulski zadeklarował pomoc resortu w rozwiązywaniu tych problemów w oparciu o wspólnie, w krótkim czasie opracowany wykaz spraw bieżących i wydawniczych pisarzy.

WARSZAWA (PAP). Urząd Cen, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, przedstawia do konsultacji szerokiej opinii społecznej wariantowe propozycje podwyżki cen żywności oraz sposobu i zakresu wyrównania najsłabszym materialnie grupom ludności skutków tej podwyżki cen.

Urząd Cen oczekuje, że w wyniku konsultacji społecznej uzyskana zostanie opinia, która z przedstawionych wariantów budzi najmniej niechęci społecznej.

Wszyscy obywatele mogą indywidualnie lub zespołowo wypowiedzieć swoje zdanie w sprawie przedłożonych propozycji, kierując listy i uwagi do redakcji gazet oraz radia i telewizji, a także bezpośrednio do Urzędu Cen w Warszawie, ul. Świętokrzyska 12.

Minister do spraw cen zwrócił się z prośbą również do Federacji Związków Zawodowców oraz instytucji i organizacji społecznych o także ośrodki i stowarzyszenia naukowe o wypowiedzenie swoich opinii i uwag na temat przedstawionych propozycji podwyżek cen.

Wyniki konsultacji zostaną podsumowane przez Urząd Cen przy współudziale czynników społecznych i przedstawione zainteresowanym instytucjom i organizacjom oraz opinii publicznej w środkach masowego przekazu. Do nich też ustosunkowuje się Urząd Cen przed podjęciem decyzji w sprawie zmiany cen artykułów żywnościowych.

Urząd Cen uprzedza prosi o wyrozumiałość, którzy zechcą wypowiedzieć się na temat przedstawionych do konsultacji nadwyżek cen i propozycji do dnia 12 grudnia br.

ZYWOŹY KROŹY

FELIKS KIRYK

W 1342 r. zmarł Karol Robert, król węgierski i główny sprzymierzeniec Kazimierza, kwestię pomorską trzeba było rozwiązać przy stole negocjacyjnym z Krzyżakami. Jedyną, co w sprawie Pomorza zdołał król polski istotnie osiągnąć, sprowadzało się do przyznania z księżstwami zachodniopomorskim, które zawarto 29 lutego 1343 r. w Poznaniu. Zbliżenie to zostało umocnione małżeństwem Bogusława V, księcia wologosko-polskiego, z córką króla polskiego Elżbietą oraz staraniami polskimi w Awinionie, zmierzającymi do wcielenia biskupstwa kamieńskiego do metropolii gnieźnieńskiej. Od spraw zachodnich i północnych odrywała zainteresowania króla ciągle trudna sytuacja na Rusi.

W takich warunkach Kazimierz musiał się zdecydować na układy z Zakonem Krzyżackim. Prowadzono je w Kaliszu, gdzie doszło do podpisania pokoju. W dniu 23 lipca 1343 r. król polski i wielki mistrz krzyżacki spotkali się konno i nie schodząc z wierzchowców zaprzysięgli jego warunki, a na znak zgody udzielili sobie pocałunku pokoju. Polska odzyskała zagarnięte przed 11 laty Kujawy i ziemię dobrzyńską. Zakon zaś utrzymał w posiadaniu Pomorze Gdańskie, oddane mu przez króla polskiego, jako „jatużna”. Warto przy tym nadmienić, że Kazimierz nie zrezygnował nigdy z tytułu dziedzica Pomorza, nie dopuścił również, aby zrzekł się go jego następca, Ludwik Węgierski. Traktat kaliski natomiast rozpoczął okres długotrwałego pokoju z Zakonem, wykorzystanego przez stronę polską w pełni do wzmocnienia

gospodarczego i militarnego, a także terytorialnego państwa. Już w sierpniu 1343 r. Kazimierz wkroczył do Włocławka, który odebrał Henrykowi, księciu głogowskiemu i zapewnił sobie poparcie Witelshbachów, do których zbliżył się ponownie, gotował się do wojny o Śląsk Dolny, gdzie posiadał sojusznika w siostrzeńcu, Bolku księciu świdnickim. W 1344 r. wyprowadził się na Rusi i opanował na trwałe ziemie sanocką i przemyską, ale uwagę króla zaprzętnie przed wszystkim sprawą Śląska Dolnego. Kiedy w marcu 1345 r. zatrzymano w Kaliszu powracającego od Krzyżaków Karola Luksemburskiego, król czeski Jan skierował atak na Włocławek i księstwo świdnickie. W odpowiedzi na niego Kazimierz najeżdżał z początkiem czerwca księstwo raciborskie, wiodąc z sobą oddziały litewskie i węgierskie, co ściskało na Polskę siły główne króla czeskiego, który podszedł pod Kraków i ścisnął go oblężeniem. Nie spowodowało ono, na szczęście, większych szkód. Ryceństwo polskie przezwyciężyło, pierścienie oblężenia i zmusiło napastnika do wycofania się spod Krakowa. Wówczas doszło także do zniesienia w bitwach pod Przeginią k. Olszusa oraz w starciu pod Lelowem dwu czeskich ugrupowań wojskowych, wysłanych przez króla czeskiego dla spustoszenia północno-zachodnich polski ziem krakowskich. W obu spotkaniach walczono z ogromną determinacją. Straty czeskie według Jana Długosza były ogromne, gdyż wielu rycerzy i wojów Jana Luksemburskiego, zaskoczonych nagłym atakiem polskim, padło ofiarą rzezi, wielu dostało się do niewoli. Polacy zebrali

KAZIMIERZ WIELKI

też wielki łup wojenny. Działania zbrojne wyczerpały jednak również siły Polaków, gdyż zawiadła obiecana im pomoc przez Witelshbachów i Habsburgów, a także władce Miśni, którzy tworzyli z Polską i Węgrami koalicję antyluksemburską. W wyniku negocjacji doszło do rozejmu, przedłużanego później na lata kolejne, podczas których ponownie król czeski Jan Luksemburski (1346) oraz cesarz Ludwik IV Witelshbach.

Nowy władca Czech i zarazem król niemiecki, Karol IV, był w 1347 r. zajęty sprawami w Rzeszy, wynikłymi z objęcia władzy w Niemczech i przyciągania na swoją stronę zwolenników zmarłego cesarza. Wykorzystał to Kazimierz, który w listopadzie tego roku przystąpił ponownie do wojny o Śląsk, podczas której Bolko świdnicki odepchnął czeskich Kamienną Górę, zaś wojsko polskie operowało na obszarach Śląska Dolnego od strony Wielkopolski, dochodząc do przedmieść Wrocławia. Działania te podrażniły am-

bicję Karola IV, który ogłosił Śląsk krajem należącym do korony czeskiej i przystąpił do akcji odwetowej. Okazało się, że niełatwo było go prowadzić, a ponieważ i polskiej stronie zależało na zakończeniu wojny, chętnie przyjęto propozycję pertraktacji. Podjął je wysłannik litewski, Czenek z Lipy. Doprowadziły one do traktatu pokojowego, który podpisano 28 listopada 1348 r. w Namysłowie. Pozostał on Śląsk przy koronie czeskiej, w zamian za co król czeski zobowiązał się popierać polskie żądania terytorialne wobec Krzyżaków i Brandenburgii. Pokój namysłowski wieńczył piętnastoletni okres aktywny (choćby ostatecznie mało owocny) polskiej polityki rewindykacji wobec Śląska i zapewnił w miarę trwały pokój od strony Czech.

Został on wykorzystany natychmiast do utrwalenia polskiej obecności na Rusi Czerwonej, o którą Kazimierz musiał toczyć boje przede wszystkim z księstwami litewskimi. Działania zbrojne na tym obszarze i zabieg dyplomatyczny sprawiły, że rok 1349 był w sprawach ruskich przełomowy. Za poparciem Węgrów król polski zajął Lwów ponownie, następnie opanował Hallez, w których podobały zamki i fortyfikacje oraz obsadził je załogami. W następnych latach opanował część księstwa włodzimierskiego z ziemią belską, chełmską i włodzimierską, zaś w 1367 r. dopiero zajął Połock, które (raz z włodzimierską częścią Wołynia) poddał na trwałe swojemu władztwu. Mimo tego zajął się Kazimierz już od początku lat pięćdziesiątych integracją zajętych obszarów ruskich z ziemiami rdzennie polskimi. W 1356 r. przenosił centrum Lwowa na nowe, dogodniejsze miejsce (stare miasto zniesiony, Litwinów) i rozpoczął na Rusi ery budownictwa murowanego. Osadziwszy we Lwowie mieszczan z Niemiec, Śląska i Krakowa, nadał im prawo składów, pod-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

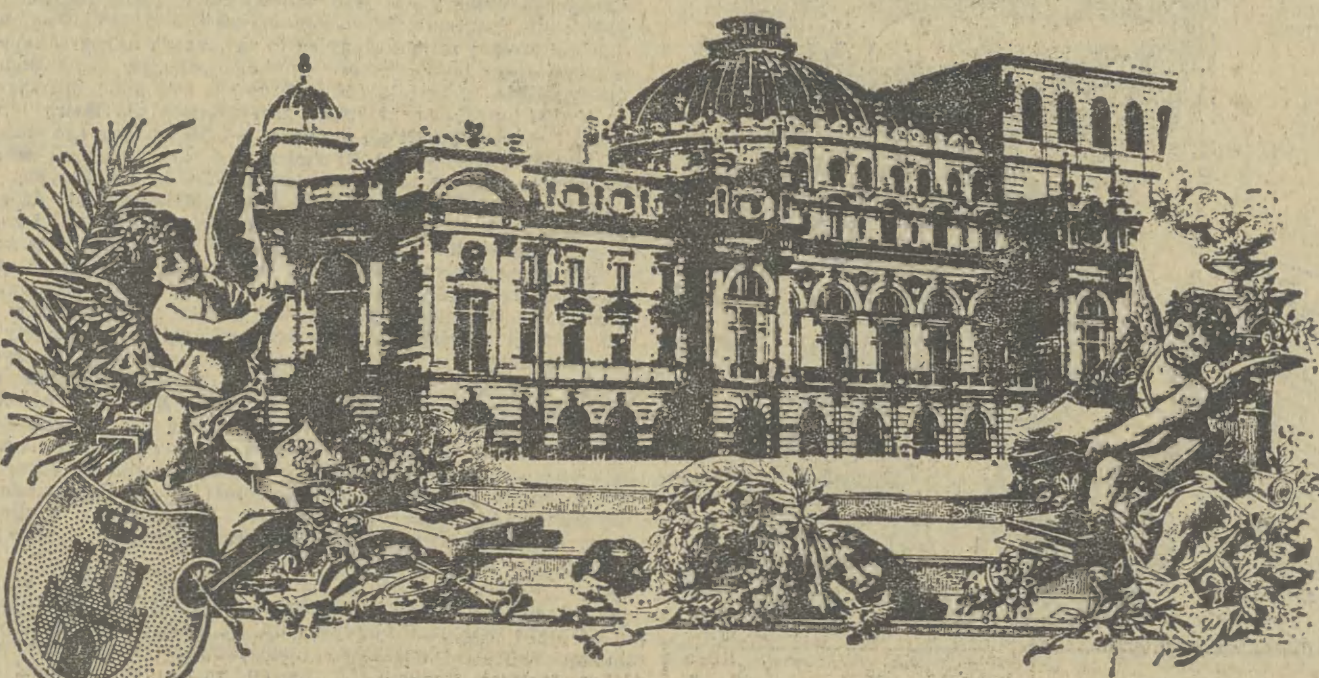
JUBILEUSZ TEATRU im. JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Wiek swój pokrzywdzi zdaniem zardzewiałem
kto częściej zabawy szuka tu powodu,
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu

sobotę 21 października 1893 roku — premiera. Główną rolę, cichną szmery na widowni, za ostatnim gościem zamknięto wielkie drzwi ze złota, bogato inkrustowaną kłami. Na balkonie III piętra jak makiem zasiał.

Kamińskiego. Dzwonek, jeden, drugi, trzeci. Przerwa skończona. Druga część wczoraj rozpoczęła poemat symboliczny Franciszka Liszta... Wychodzą ostatni widzowie, pierwszy świadek przysięgły świętości wielkiego teatru,

...kościół Boga czy czarta?



Takich tłumów zebranych na placu Ducha, Kraków dawno nie widział. Potężne gmaszysko nowego teatru jarzy się wspaniałym oświetleniem elektrycznym. Ci szcześliwcy, którym udało się zdobyć zaproszenie i przedostać do środka budynku, oczarowani są jego nowoczesnością i urzekającym pięknem. Kryształowe żyrandole, dyskretne złozenia, aksamioty, barwne desenie mienią się i migają w coraz to innych kolorach, rozpryskują w załamaniach światła pysznych lamp.

Purpurowo-złota widownia wypełniona gośćmi. Panie w wieczorowych toaletach i wspaniałej biżuterii dodają blasku nowemu murowi. W miejskich fotelach parteru zasiadają najprzedniejsi artyści, przyjaciele teatru. Balkon III piętra oddano w całości młodzieży. Tłoczno na nim i gwarno. Roziskrzono z zachwytu oczy, rumieńcem obla-

ne twarze z niecierpliwością oczekują na spektakl. Gdzieś, wśród słuchających ludzi, migieło surowe i smutne oblicze Stanisława Wyspiańskiego. Może to właśnie teraz, przyszybiec piewca tej sceny zadaje sobie pytanie:

Scena wielka otwarta!
Kościół Boga czy czarta?
Czym się stanie ta sztuka
goniżna?

Może to właśnie teraz rodzi się w jego marzeniach:

Strójcie mi, strójcie
narodową scenę,
niechajże ujrzą, jak dusza
wam płonie,
niechaj zobaczą dziś
bogactwo całe
i ogień rzuce, co pali
i waszą zwolam sławę!

Wzorem teatrów paryskich za chwilę rozpocznie się próba generalna, jutro zaś, tj. w

Po Chopinowskim „Polonie” kurtyna idzie w górę. Cały zespół teatru zebrany na scenie. Józef Kotarbiński podchodzi bliżej widowni, na sam przed sobą, wita przybyłych na próbę generalną gości słowami Asnyka:

Plaudite cives!
Oto nowa scena
Otwiera Muzeum gościnne
podwojne
ucieczna Thalia, smutna
Melpomena
prowadzą z sobą wdzięczne
chóry swoje
w ogarniającą cały świat
widownię.

IV akt „Zemsty”. III odcinek „Balladyny”. II akt konfederatów barskich, zostają nagrodzone, rzesistymi brawami. Szczególny aplauz wywołały kreacje Antoniny Hoffmannowej i Bronisławy Wolskiej. Zaś w foyer mówi się o znakomitej grze Kazimierza

początkowo Miejskim, a potem Teatrem Juliusza Słowackiego zwanym. Główną rolę, cichną szmery na widowni, za ostatnim gościem zamknięto wielkie drzwi ze złota, bogato inkrustowaną kłami. Na balkonie III piętra jak makiem zasiał.

1893 rok, 21 października, godzina 12 w południe. Teatr Miejski przy placu Św. Ducha. Następuje uroczyste otwarcie nowego teatru. Prawą stronę schodów wiodących z wstępu na I piętro zajęła Rada Miejska, tuż za nią rzeźmiecinicy, dzięki pracy których powstał ten gmach. Po lewej przedstawiciele władzy państwowej, Akademii Umiejętności, Uniwersytetu Jagiellońskiego, delegacje Lwowa, Poznania, Wiednia, Pragi. Tuż przy schodach Kotarbiński, Kossak, Estreicher, Kossak, Jeleński. Jest także mistrz Jan Matejko. Artysta nawet nie spórzył o miejsce, na któ-

PRZED 50. ROCZNICĄ urodzin KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Nim określimy bliżej wartości fascynującego zjawiska jakim jest osobowość artystyczna Krzysztofa Pendereckiego przypomnijmy, że dnia 23 listopada 1933 roku ten znakomity polski kompozytor, dyrygent, nauczyciel akademicki i opiekun młodych talentów skończy 50 lat. Rocznicą okrągłą, rodzinną Dębica z pewnością uczci ją godnie, ale Kraków w którym dla muzyki światowej, ojczyźnie narodził się i ukształtował, rozwinął, ma tu specjalne oblige wobec twórcy i animatora nowego świata dźwięków. Naszemu pokoleniu dane jest obcowanie z prawdziwą wielkością. Nie wiem czy wszyscy zdają sobie z tego sprawę.

Bez rwania najnowszej tradycji, w normalnym rytmie studiów u profesorów Artura Malawskiego i Stanisława Wiechowicza studiował Krzysztof Penderecki w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, dzisiaj noszącej szczytne miano Akademii Muzycznej. Jest rzeczą naturalną w pokoju Europy, że twórcą tej miary zostaje rektorem uczelni, w której kształcił się przyszły kompozytor, wokalistów, instrumentalistów, pedagogów muzycznych. Jest naturalny w naszym życiu polskim, europejskim rytm występów kompozytorsko-dyry-

o tym przywołany tu Drobą, że postawebrowskie „Miniatury” kłanietowe (1959) i wcześniejsze z 1956 r. „Miniatury” skrypcowe kończą okres neoklasycyzmu w muzyce Pendereckiego. Dopiero potem absolutna fascynacja dźwiękiem chociażby w I Kwartecie Smyczkowym. „De natura sonoris”. II Kwartet należałby w pełni do okresu sonorystycznego. To prawda, że Penderecki zafascynował natychmiast opinię muzyczną kraju nowym językiem dźwiękowym, ale przecież od treści uczuciowych nie uciekał, nawet w bardzo wysublimowanych propozycjach i realizacjach orkiestrowych (vide: prawo do dowolności wykonawczej w poszczególnych utworach, poszczególnych grup instrumentów).

Kolejny okres to Pendereckiego zapamiętanie wielką formą muzyczną. Czy zaczyna się to w późnym dziele „Pasji według św. Łukasza”? Chyba tak. Warto zacytować tutaj zdanie Danuty Jasieńskiej: „Napisała w 1962 roku kompozycję „Stabat Mater”, włączył Penderecki w trzy lata później do „Pasji”. Autonomiczny utwór wokalny a capella stał się więc częścią jednego z wielkich dzieł wokalo-instrumentalnych. Zmienił dotychczasowe funkcje, a poprzez tresciową korelację z tekstem „Pasji” związał się integralnie z jej przebiegiem i dookreślił swój sens dramaturgiczny i wyrazowy. Sekundowa komórka wstępnego motywu „Stabat Mater” jest to „Pasji” interwalem formotwórczym”. Dalej mówi autorka jak ów motyw pojawia się już w pierwszym fragmencie chóralnym „Pasji”, w arli barytonowej, potem znowu

Przebieg tak nie jest. Logika muzyczna „Jutrznii” jest dramatyczna, wyzwała w człowieku refleksję dość ożywistą; określone wydarzenia zawarte w opisie historycznym trwa w nas, trwa w naszych wierzeniach, obyczajach. Tak rozumie „Jutrznia”.

Prawde powiedziawszy nadejście w twórczości Pendereckiego „Raju utraconego”, opery opartej o arcydzieło angielskiej literatury autorstwa Johna Milтона, mówiącego o istnieniu Boga i szatana — nie było dla znanowca muzyki, literatury, w ogóle — sztuki specjalnym zaskoczeniem. Penderecki szykował wyraźnie tak takiemu dziełu, którego motywy mają charakter uniwersalny. Oczywiście można tu powiedzieć wiele o pracy librecisty Christophera Fry, o wyborze tekstów i kolejności ułożenia owych fragmentów. Jednakże wprowadzenie chociażby chóru protestanckiego i potężnego „Dies irae”, sceny piekielnej, zakrój oratoryjny niektórych fragmentów świadczą o okresie burzy i naporu.

W rozmowie z T. A. Zielińskim Penderecki powiedział o swoim „Stabat Mater”: „Nie chodziło mi o żadną archaizację ani stylizację. Chodziło natomiast o wyraźne eksponowanie tekstu i dostosowanie do niego muzyki, a więc maksymalne ograniczenie środków i pewien wyraz surowości, ascezy. A że wywołało to efekty podobne do dawnej muzyki to czysty przypadek... Mnie interesował tu fakt

Nowy świat dźwięków

genek Pendereckiego, który i o inne części świata zahacza bardzo często. Sławiąc czasy blisko czterdziestoletniego pokoju zwracamy swoje oczy i uszy ku dziełu znakomitemu, które już samą ilością fascynuje. W roku 1980 Krzysztof Drobą napisał w „Ruchu Muzycznym” po festiwalu muzyki Pendereckiego w Krakowie, o którym pisaliśmy z prawdziwym entuzjazmem, że na podstawie wydanego w 1979 r. przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne katalogu (a nie był to pełny wykaz twórczości), czas trwania utworów Pendereckiego, powstałych przed tym festiwalem wynosi 1000 minut czyli prawie 17 godzin muzyki. Przecież od tego czasu powstało kilka nowych rzeczy. Możemy więc powiedzieć bez przesady, że imponujący jest dorobek twórcy wielkiego kompozytora. Nie jest to jedna czy trzecia, piąta kompozycja. Od układu formalnego krótkiego koncertu, etudy orkiestrowej, chóralnej szybujemy ku potężnym dziełom oratoryjnym, operze, rozległemu w planach muzycznych koncertu solowego. I nie idzie tu o rytm zamówień, wykonania, jakichś rozliczeń ilościowych. Muzyka Pendereckiego jest obecna w salach koncertowych całego świata. Podpisany słuchał przy wykonaniu „Pasji według św. Łukasza” — w Moskwie, Leningradzie, Tallinie, Wiedniu, premier muzycznych Pendereckiego w czasie festiwalu w norweskim Bergen, nie wylaczając Belgradu, Skopje. Pamiętamy znakomite felietony Waldorffa poświęcone prawkomoniam wielu utworów naszego twórcy w Republice Federalnej Niemiec, po „Pasji” w Lipsku słyszałem potężną manifestację dość wybrednych słuchaczy muzyki w NRD, którzy głośno, kilkanaście minut tupali nogami (w tradycyjnym miejscu koncertowym tego miasta zwyciężające tupanie oznacza entuzjastyczną akceptację).

Co możemy powiedzieć o muzyce Krzysztofa Pendereckiego? Powtórzmy, że okres pierwszy twórczości kompozytora to „Epifanią Artur Malawskiego in memoriam” na orkiestrę smyczkową i koty (1958), „Anaklasis” na smyczki i perkusję (1960), „Ofiarom Hiroszimaj” — Tren” lub „837” na smyczki (1960), „Polymorfizm” na smyczki, „Stabat Mater” na trzy chóry, „Cantata in honorem Almae Matris Universitatis Jagiellonicae” w związku z 600-leciem Akademii Krakowskiej (na chór i orkiestrę, 1964).

Listę tych utworów można przecieć powiększyć. Fascynuje w tym okresie Krzysztofa Pendereckiego sam dźwięk. Ów sonoryzm jest jednak szczególnie rodzaju. Nie można bowiem uciec w tym miejscu od... literatury. Zwracając uwagę tytuły kompozycji, w których często artysta ujawnia swoje intencje uczuciowe. I niech mi nikt nie mówi, że ten bardzo ważny okres twórczości Pendereckiego w ówczesnych w sensie literackim, wręcz — fabularnych był tylko spożyczeniem na naturę dźwięku. Takie zaznaczenie postawy obserwacyjnej w wypowiedzi muzycznej o naturze dźwięku zawsze kryje dla mnie jakąś tajemnicę. Jest to na pewno więcej... niż tylko fascynacja pustą materią brzmienia instrumentu, głosu solowego, chóru. Mówi



wkracza do chóru w drugiej części. Słyszę tu jak na wyobraźnię muzyczną zaczyna się nakładając literacka treść tematu, zapisana we wzniosłych słowach Ewangelii. Powiada się, że Penderecki w okresie tym miał odwagę sięgnąć do owych wielkich form jakby na zamówienie szerokiej rzeszy słuchaczy. Dramat meki Jezusowej, wprowadzenie chóru, który wcale nie prezentuje się tylko jako umowny tłum rozdzygotany, bo przecież ta część zespołu wykonawczego krzyczy, śpiewa, mówi szepem partie poświęcone systemu opisowi, który w odtwarzaniu wymaga zawsze jakiejś osobowości aktorskiej (niezapomniany Leszek Herdegen) — wszystko to jest jakby nową jakością w utworze przeznaczonym na estradę. To prawda: Krzysztof Penderecki dysponuje tu genialną wręcz zdolnością syntetyzowania środków muzycznych i — w jakiejś części — teatralnych. Ale „pozabawiając” słuchacza obrazem, Penderecki zmusza naszą wyobraźnię do przeżywania historii Męki mojej głębiej, niż wiele utworów opartych wyłącznie o słowo — zapisane lub wygłoszone w dramacie, na scenie.

W tym miejscu musimy spytać głośniej: jak w takim razie tłumaczyć olbrzymią popularność „Jutrznii”, która w porównaniu z „Pasją” jest utworem statycznym? Tego ostatniego słowa używam w sensie potoczny. Mówi się, że ta słowniasta „Utrętnia” opiera się o motyw ewangeliczny „Złożenia Chrystusa do grobu” i „Zmarłychychwstania”. Niektórzy recenzenci podkreślali, że w dziele tym sam czas trwania akordu, sola basowego na przykład — uprzytamnia słuchaczowi trwanie i mijanie chwil. Wszystko w tej muzyce, nie wolnej od prostego cyfatu, dzieje się na zasadzie zwolnionych temp — oto sąd powszechny,

brzmieniowy poszczególnych linii, klasterów i planów stereofonicznych oraz walor niektórych słów i głosek. Są to dla mnie środki tak samo współczesne, jak w innych utworach, tyle że ich wybór jest świadomością zawożony” („Ruch Muzyczny” nr 12 z roku 1963). Jeśli artysta mówi tu o „pewnym wyrazie surowości i ascezy”, to już w pewnej tradycji, w polskich odniesieniach do Matki Bolesławiej dziełami środkami muzycznymi jest gestem, który stanowi funkcję treści pozamuzycznej. I dobrze że tak jest, bo tak być musi, bo muzyka musi właśnie przez układy formalne też coś mówić, coś komunikować. W tradycji muzycznej Europy i całego świata tak się dzieje z utworami, które zbudowane są z dźwięków instrumentalnych, z głosów ludzkich. Porządek, w jakim Penderecki całą rzecz muzyczną układa jest porządkiem znaczeń.

Półwiecze życia Krzysztofa Pendereckiego wymaga nie tylko odniesień do biografii twórcy, czysto artystycznej. Trzeba więc przypomnieć, że kompozytor w dużej części własnym sumptem doprowadził do właściwej, doskonałej (według znawców przedmiotu) renowacji dworu w Lusawicach, że pokrywa finansowo również rozróżniany przez siebie konkurs kompozytorski młodych, że wspiera niektóre wydatki dewizowe środowisk muzycznych własną kieszenią. Tak wiele mówimy o dochodach naszych znakomitości, w tym ludzi sztuki. Za mało chyba informuje się publiczność czytającą i słuchającą na koncerty o szlachetnych, obywatelskich inicjatywach ludzi pokroju Pendereckiego. Nie wiem, czy tylko względy materialne decydują o tym, że właśnie rektor krakowskiej Akademii Muzycznej przyjmuje często propozycje dyrygowania własnymi utworami. Właściwie wiem — dzieje się tak nie ze względów materialnych. Wiedziałem i słyszałem, jak Penderecki przeprowadzał próby z zespołem symfonicznym Filharmonii Krakowskiej im. Karola Szymanowskiego w zeszłym roku w Bergen, w Norwegii, w tym roku w Rzymie. Naturalnie instrumentalistów i wokalistów mają już pewne doświadczenie pracy nad utworami Pendereckiego, ale kompozytor i dyrygent w jednej osobie nie folguje ani na chwilę. Słuchacz utworów nie tylko za pulpit dyrygenckiego, często cofa się w głębi sali lub świątyni, gdzie o określonej porze odbędzie się koncert. Nie ma mowy o jakimś powierzchownym traktowaniu tych prób. Muzycy są bardzo zmęczeni, ale też i dyrygent z największą energią i zaangażowaniem każe jeszcze raz i jeszcze raz powtórzyć fragment „Te Deum”, bo chce dostosować brzmienie orkiestry, chóru i głosy solistów do warunków akustycznych. Za każdym razem — innych. Za każdym razem — kryjących niebezpieczeństwo spłaszczenia lub niezapisanie w partyturze wybujałości dźwięku. I taki jest Krzysztof Penderecki, któremu w okresie jubileuszowym wimiśmy wyrazy prawdziwej podziękności za to, co zrobił dla kultury muzycznej w Polsce.

OLGIERD JEDRZEJCZYK

MARSZ DĄBROWSKIEGO

Są tematy teatralne i artyści teatru, do których chętnie wracam po półwiecznym obcowaniu z zjawiskami scenicznymi. Do takich powrotów, nazwijmy je: sentymentalnymi, zaliczam częste spotkania z Teatrem im. J. Słowackiego, w gmachu którego pobierałem ongiś naukę patrzenia na sztukę dramatu jako gimnazjalista i student — oraz późniejsze kontakty z BRONISŁAWEM DĄBROWSKIM, drugim w dziejach teatru dyrektorem, jeśli idzie o najdłuższy staż kierowania 90-letnią, dziś Jubilatką.

Dwadzieścia lat wpływu na estetyczno-ideowy profil teatru — ergo, prawie na jedną czwartą jego historii — to nie tylko czasowy unikat (szczególnie w dobie chwiejności stólków dyrektorskich), lecz także efekt organizacyjno-twórczych umiejętności godzenia ambicji wybitnego reżysera i dyrektora z ambicjami oraz możliwościami zespołu artystycznego. Zaś w owym dwudziestolecu: rozkwit wielu osobowości twórczych, zgromadzonych przez Dąbrowskiego ze szczególnym wyczuciem i przy równie szczególnym zbiegu przypadków, wokół tej czołowej sceny narodowej. Nie tedy dziwnego, że tak fortunny splot okoliczności — szczególnie dostrzegany z wieloletniego dystansu — stworzył podwalny czegóż w rodzaju niezapomnianej ery scenicznego Dąbrowskiego. Ery, nalaadowanej fajerwerkami wielkich przedstawień. Zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu prowadzenia teatru, choć to okres przedzielony nieobecnością dyrektora w Krakowie (1950—1955).

Trudno powiedzieć, że poznałem Dąbrowskiego w r. 1932, gdy opuszczał po czterech latach Miejski Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego, gdzie głównie jako młody aktor występował pod skrzydłami T. Trzcnińskiego i J. Osterwy. Był to akurat mój pierwszy rok — nie licząc dziesięciu z adziaków — jakby odnowionego pobytu w Krakowie, tym razem już na stałe. Zapewne wiedziałam Dąbrowskiego na Scenie Szkolnej, powołanej do życia przez Osterwę, ale ani twarzą ani rolą artysty w którejś ze sztuk nie zapamiętałem. Młodzieńcze oko i ucho wychwytywało jedynie nazwiska głośno przewijające się przez Kraków, S. Wysockiej, L. Sol-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

SKARBNIKA AKTORSTWA

Jubileuszowe wspomnienia BRONISŁAWA DĄBROWSKIEGO

— Był Pan, Profesorze, dyrektorem najdłużej rządzącym tą sławną sceną. Na pewno w tym czasie na jego deskach, jak i za kurtyną Siemiradskiego dzieło się wiele ciekawych spraw. Ale zaczynaj od początku...

— O! Nie od samego, przecież jubilat ma 90 lat, ja zaś nieco mniej. Cieszyłby się na pewno patroni teatru z jego jubileuszem.

— Jak to patroni! Przecież, Panie Profesorze, teatr ma tylko jednego patrona — Juliusza Słowackiego.

— Nie jednego, a trzech, ba nawet kiedyś powiedziano że czterech. Oczywiście jeden, ten koronowany to Juliusz Słowacki, przedtem był nim Aleksander Fredro, ale go zdegradowano, kosłem setnej rocznicy urodzin wieszca Juliusza. Pozostał pomnik stojący przed teatrem, którego jedno ramie jest niższe. Powiada się, że to wybitny krytyk Henryk Fogel poklepał kiedyś Fredrę po ramieniu i tak już zostało. Trzeci niekoronowany patronem jest Stanisław Wyspiański, który był i jest bardzo związany z tą sceną. Wystarczy tylko wspomnieć, choćby „Wyzwolenie”, które rozgrywa się na deskach tej sceny i w tym gmachu. Natomiast z czwartym... to było tak.

Kiedyś, podczas egzaminu w PWST spotkała mnie miła niespodzianka, jedna ze studentek na pytanie, kogo przedstawia pomnik stojący przed teatrem Słowackiego, bez zająknięcia wyrecytowała: dyrektora Dąbrowskiego, a więc egzeli monumentum.

— Panie Profesorze, czym różni się posadowiony „Słowacki” od dalszego jubilat?

— Były to istotne różnice i długo by o nich mówić. Z sentymentem wspominam moje aktorskie początki, kiedy stawałem pierwsze kroki w 1928 roku na deskach tego teatru. Dyrektorem był mój Zygmunt Nowakowski, występowałem wtedy w „Różni”, potem byłam Konradem w „Wyzwoleniu” reżyserowanym przez Teofilę Trzcnińską. Ci dyrektorzy byli moimi promotorami w nawiedzaniu Krakowa i teatru, który był wówczas rodzinnym domem dla aktorów. Nawet wtedy, gdy nie występowałem w danym spektaklu, przy-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

KAZIMIERZ WIELKI

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

możąc znaczenie handlowe miasta. Wyrósł ono szybko na główne miasto Rusi Czerwonej i główny ośrodek handlu ozarnomorskiego. Tu zlokalizowane także siedziby administracji państwowej, nieco później osiedlił się w nim wódzka wschodni oraz arcybiskup kościoła łacińskiego, związani do-
tąd z Hallezmem. Polityka gospodarcza króla objęła nadto Krosno, Sanok, Przemyśl i inne miasta ruskie, zaznaczając się pozytywnie również w intensywnie kolonizacji wiejskiej. Lata sześćdziesiąte, nasyczone sprawami dołączalnymi na-
jazdami litewskimi, nie wywarły już decydującego wpływu na pozycję Kazimierza na Rusi, która stawała się prowincją polską.

Powstaje się często, że skierowanie zainteresowania te-
rytorialnego i politycznego Polski przez Kazimierza Wiel-
kiego na wschód, było rezultatem dążeń do powetowa-
nia sobie niepowodzeń, jakich monarchia doznała w walce

o Śląsk, Ziemię Lubuską i Pomorze. Wielu historyków pi-
szących po drugiej wojnie światowej o czasach tego króla,
lanowało także poglądy, że opanowanie Rusi przez Polskę
w XIV wieku było efektem nacisku możnowładców ma-
łopolskich na króla, gdyż mianem się im wielkie latyfundi-
arstwo. Nie brakuje też sądów, wypowiedzianych zwię-
ża przez historiografię dawniejszą, że włączenie Rusi do
Polski było „koniecznością dziejową” czy też zapożyczanie-
m wielkiej misji cywilizacyjnej i rezultatem wizji dzie-
jowej genialnego władcy. Skrajne te stanowiska — pomija-
jąc fakt, że jedne wynikają z kompleksów narodowych, a
drugie z euforii i megalomanii — mają jedną wspólną: są
nazbyt uproszczone i przez to niesłuszne. Zauważmy przy
tym, że „samobocowanie” się z tego powodu, że Kazi-
mierz Wielki dokonał znikomego, bezprawnego zaboru ziem
ruskich z obcą etnicznie ludnością — pozostawiając na
boku niedostatek rzeczowe takiego ujęcia sprawy — nawi-
ązują bardziej do oceny polityki polityki wschodniej, niż z
XIV, lecz z XVII wiekiem. Są to więc sądy ex post. A ob-
ciążać Kazimierza Wielkiego błądami późniejszej polityki
magnackiej wobec kresów naprawdę nie wypada, gdyż tej
polityki nie był nawet prekursorem.

Rzeczywistość dziejowa XIV wieku na tym odcinku by-
ła w istocie bardzo prosta. Król wykorzystywał doraznie
każdą możliwość poszerzenia ścieśnionych granic królestwa
i uczynił to w stosunku do Rusi halicko-włodzimierskiej, do
której posiadał prawa sukcesyjne. Wiemy już, że opanowa-
nie ziem ruskich postępowało z trudem, z wieloma prze-
wrotami na walkę własną o Śląsk i inne terytoria na zachodzie
kraju, bez wzięcia mocarstwowych i misji cywilizacyjnych.
Pomawiać króla, który całe życie prowadził walkę o polskie
ziemie zachodnie, że zamiarł na Rusi, względnie znalazł
na Rusi rekompensatę strat na zachodzie kraju, mogą tylko
ludzie, którzy nie wzięli się w epokę ostatniego Piasta

i mają odwagę wykorzystywać historię do uzasadniania do-
żądanych celów politycznych. Nie można też żywić pretensji
do króla, skoro ziemie ruskie wchodziły do korony polskiej, że
musiała ona ponosić tego konsekwencje: bronić je przed Li-
twą i Tatarami — łożyć na jej obronność i rozwój gospo-
darczy.

Przyszła kolej na uregulowanie problemów mazowieckich.
W 1351 r. Kazimierz objął po bezpotomnej śmierci Bo-
lesława, księstwo płockie i przyciągnął do sojuszu z Polską
pozostałych książąt podzielnego Mazowsza, słabych i bez-
radnych wobec najazdów litewskich i zagrożenia krzyżackie-
go. Zapewniając wspomnianym Piastom ziemie płocką w
spadku po sobie, zdołał rozciągnąć nad nimi zwierzchnictwo,
usuwało narzucone Mazowszu w przeszłości związki lenne
z koroną czeską. Na 1351 r. przypada także udaremnienie
zabiegów czeskich w Awinionie, zmierzających do odwró-
cenia od metropolii gnieźnieńskiej biskupstwa wrocławskiego
i podporządkowanie go arcybiskupowi praskiemu. Dalsze
lata pięćdziesiąte przyniosły szereg komplikacji w stosun-
kach polsko-czeskich, przy czym kwestia wzięcia stała się
przebiegiem pod zwierzchnictwem Czech księstwa świdnickiego
(na skutek posłubienia przez Karola IV Anny córki księcia
Bohemy) i także liczne starcia z książętami litewskimi. Za-
pędy tych ostatnich, kierowane na Rus, starał się Kazimierz
blokować przy pomocy Tatarów, z którymi nawiązał kon-
tacty, a nawet nosił się z zamiarem posłubienia jednej z
księżniczek tatarskich. Plan ten nie wszedł wprawdzie w
stadium urzeczywistnienia, jednakże był jedną z śmielszych
konsepji politycznych, która mogła liczyć na poparcie pa-
pieście ze względu na misyjność.

Normalizacja stosunków wewnętrznych, będąca owocem
polityki króla, stworzyła warunki do niespożywanego dotąd
rozwoju gospodarczego kraju. Rozszerzyły się widocznie rów-
nież możliwości militarne państwa. Lokalek mógł zmobiliz-

zować najwyżej 6 tysięcy rycerzy, jego następcą natomiast
był w stanie zgromadzić dwa lub nawet trzy razy więcej.
Podniósł się znacznie prestiż międzynarodowy królestwa
polskiego. Nic dziwnego, że Krzyżacy dostrzegli owe prze-
miiany w Polsce i uznali je za proces dla siebie wysocy nie-
pożądany i niebezpieczny. Na początek lat pięćdziesiątych
XIV wieku przypada więc pasmo dywersji krzyżackich i
wznowienie propagandy antypolskiej na Zachodzie. Ten
względ właśnie sprawił, że wiosną 1356 r. król polski zna-
lazł się znowu w Pradze i 1 maja zawarł z Karolem IV
najciszejszą przyjaźń, zapewniając sobie także wsparcie
wojskowe na wypadek wojny. Przypieczetowano wówczas
rezygnację Polski ze Śląska na rzecz korony czeskiej oraz
przejęcia Mazowsza pod zwierzchnictwo króla polskiego. Dy-
plomacja polska podjęła też antykrzyżacką kampanię pro-
pagandową na dworze papieskim.

Zagrożenie krzyżackie wywarło wpływ także na zmianę
stosunku Polski do Litwy, na obszarze której wysłannicy
Kazimierza starali się kształtować warunki pod jej chrys-
tianizację, uzyskując dla tych dążeń silne poparcie papieża.
W 1360 r. doprowadzili do małżeństwa wychowanego na dwo-
rze krakowskim wnuka królewskiego, Kazię księcia woje-
gosko-słupskiego, z Kenną córką Olgierda, ale idea nawró-
cenia Litwy na wiarę chrześcijańską rozwiała się. Sojusz
polsko-litewski miał natomiast duże znaczenie w polityce
obu państw wobec Krzyżaków oraz wpływ pozytywny na
umocnienie interesów polskich na Rusi.

(C.d.n.)

FELIKS KIRYK

Skarbnica aktorstwa

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

chodziliśmy do teatru, żeby podzielić się swoimi kłopotami
i radościami. Życie za kurtyną Śniadarskiego przypomina-
ło naprawdę rodzinę. Na przykład: bardzo przeżywalismy
strajk aktorów, za czasów Teofila Trzcińskiego i dyrektora
Biura Koncertowego Eugeniusza Bujalskiego, który instalow-
wał wówczas operę w teatrze i aktorom nie dawał podwy-
żek. Graliśmy wtedy „Dom otwarty” Baluckiego. Zmuszeni
byliśmy dawać spektakle u księdza Kuzmiewicza przy ulicy
Skarbowej w Domu Rzemieślniczym. Jednakże nie trwało
to długo i wkrótce pogodzeni wróciliśmy do teatru, do na-
szego domu. Myślę, że i podobna atmosfera panowała za
czasów dyrektora Tadeusza Pawlikowskiego, który podczas
każdego spektaklu siadywał w łóżu i pilnował gry aktorów.
Wtedy teatr był teatrem aktora przede wszystkim. Zaś ja
grywałem m. in. z Józefem Karbowskim i Władysławem
Wojnickim, moim przyjacielem, znakomitym gwiazdkiem
i zapalonym szachistą. W bucie teatru, w owych czasach,
zbieraliśmy się zawsze na ploteczki, pogawarki, graliśmy
w domino, w szachy, rozprawialiśmy o sztuce.

Teatr im. Juliusza Słowackiego zawsze był skarbnicą ak-
torstwa, z której sobie artystów wypożyczano (albo porywa-
no) do Warszawy czy też innych miast w Polsce. Tutaj sta-
wali się pierwsze kroki najwybitniejsi współcześni aktorzy,
jak choćby Aleksandra Śląska, Maria Malicka, Zofia Jaro-
wskiego, Zofia Niwińska, Wiktor Sadecki, Adam Hanuszkiewicz,
Tadeusz Lomnicki, Stanisław Zaczek, Gustaw Holoubek,
Zofia Ryśdówna. Tu reżyserowali spektakle Kazimierz
Dębnek, Bogdan Korzeniowski, Jerzy Kreczman i wielu in-
nych wspaniałych twórców polskiej sceny.

Który spośród selek spektakli wspomina Pan, Profesorze,
młodziu?

— „Wyzwolenie”. Jak już jesteśmy przy Wyspiańskim, to
muszę pani powiedzieć, że bardzo mi smutno: od 10 lat nie
grano w teatrze Słowackiego żadnej sztuki tego wielkiego
poety. Są nawet tacy, którzy negują wielkość Wyspiańskiego,
zarzucając mu frazologię, nazywając go grafomanem.
Bzdura. Wydzwicz jego sztuk jest wciąż aktualny, czego po-
wierdzeniem jest choćby ostatni sukces „Wyzwolenia” w
Teatrze „Rzeczpospolitej”.

— Czy „Wyzwolenie” wyreżyserowane przez Pana w 1957 ro-
ku wywołało też tyle kontrowersji?

— Kontrowersji? Co za delikatne słowo! Niektórzy krzy-
żeli, że to profanacja Wyspiańskiego...

— Bo?

— Nie było na scenie... Wawelu. W mojej reżyserii „Wyz-
wolenie” zamieniono się w trybunę dyskusji narodowej. Gra-
jący główną rolę Stanisław Zaczek schodził na widownię,
Maski siedziały w łóżach i poruszały się pomiędzy publicz-
nością. Rozmowa z Maskami przebiegała we wnętrzu całego
teatru, było to nowum na owe czasy. Wtedy nie były
jeszcze znane podesty na widowni czy gra w foyer, czyli
tzw. teatr otwarty, jakbyśmy dzisiaj to powiedzieli. To
„Wyzwolenie” graliśmy ponad 200 razy. Było to przedsta-
wienie bardzo nowoczesne, powiedziałabym awangardowe. Ta
awangardowość trafiała jednak do ówczesnej publiczności.

— Jak była ta publiczność?

— Powojenna publiczność była już bardzo społecznie nie-
jednolita. Przyjeżdżali do naszego teatru wycieczki ze
wsł, robotnicy z fabryk, przychodzili młodzieży studiującej.
To już nie był teatr dla mieszczańskiego Krakowa. To była
już inna widownia. Bardzo żywo reagująca, zwłaszcza ta
młodsza generacja, ciepło przyjmująca spektakle.

— Czy zdarzały się klapy?

— Oczywiście! Jak w każdym teatrze. Nawet najwięksi
reżyserzy mieli nieudane przedstawienia. Składały się na to
różne okoliczności: nieodpowiednia obsada, zła koncepcja
reżysera lub... nieprzewidziane wypadki losowe. Kiedyś je-
den z aktorów, znakomity zresztą, grający rolę Czepa w
„Weselu” nagle zaczął na scenie mówić do mnie — kreowa-
łem Dziennikarza — prozą. Bardzo się tym speszyłem, on to
natychmiast zauważył i powiedział: niech się pan dyrektor
nie denerwuje, bo ja jestem Bartosz Głowacki. To dziwne
przeistoczenie było wynikiem pewnych sprawek alkoholo-
wych. Nie brakowało zdarzeń tragicznych. Obchodziliśmy
kiedyś wspólny jubileusz w gronie 13 jubilatów. Jeden z nas,
przyjrzany aktor z Warszawy, Staszewski, wyszedł na scenę,
uścisnął Wacława Nowakowskiego i w tym momencie
upał. Śmierć przy otwartej kurtynie.

Wspominając życie naszego teatru, nie sposób powiedzieć
o naszym „żelaznym” widzu. Była nim pani Zofia Jachimec-
ka. Obejrzała wszystkie premiery w czasie prawie całego ist-
nienia teatru.

— O Ludwiku Solskim krążyły rozmaite plotki po Krako-
wie. Ponoć w jego garderobie...

— ...rodziły się najwspanialsze pomysły. Spędzał w niej
przebieg pół życia. Zresztą piękna to i zabytkowa garderoba.
Na ścianach jej znajdują się fotografie najwybitniej-
szych przedstawicieli sztuki ówczesnego Krakowa, a i nie
tylko. Napisała na niej kiedyś Helena Modrzejewska: „Be-
dziesz skazany na wieczny jubileusz za kolki, których do-
stałam od śmiechu”. Ogłądała Solskiego w roli Chudołgę
w „Wieszczce Trzech Króli”. Solski był człowiekiem niezwy-
klej energii. Zmarł mając 99 lat, niemal do ostatniej chwili
grając. Cagle urządził jubileusz, świętował jakiegoś rocz-
nica i miał coraz to nowe pomysły, które natychmiast wy-
korzystywał w swoich rolach. Do legendy przeszedł Wiarus
w „Warszawiance” Wyspiańskiego. Była to przecież postać
niema. Solski wchodził tylko na scenę i oddawał list z pola
walki. Znała się historia, jak to przed wejściem na scenę,
Solski ochlapał się błotem (wracając przecież z pola wal-
ki) i biegł nakoło teatru, aby zmęczenie było autentyczne.
Kiedyś Solski miał swój kolejny jubileusz. Z tej okazji
otrzymał od teatru cztery tony węgla. Mimo że Solski miał
ogromne poczucie humoru, to między nami mówiąc, był
przezadnie oszczędny człowiekiem. Za węgla bardzo po-
dziękował, ale wieczorem przyszedł nieco zdenerwowany
na bankiet, czyniąc mi wywoki, iż zważył co tylko
otrzymał węgiel i okazało się, że nie ma pełnych czterech
tony.

— Panie Profesorze, z perspektywy pół wieku pracy w Tea-
trze im. Juliusza Słowackiego, jak ocenia go Pan dzisiaj?

— Niestety nie chodzi już prawie do teatru, więc trudno
mi mówić o tym. Jednakże uważam, i bardzo mi to mar-
twi, że prezentowany repertuar jest zbyt szczypliwy. Nie po-
zostawia dostatecznego wyboru dla widza. Chciałoby się w
sezonie obejrzeć więcej premier. Za moich czasów wysta-
wialiśmy 8-10 premier rocznie, nie licząc sztuk, które gra-
waliśmy na scenie Kameralnej przy ulicy Filipa. Jak już
jesteśmy przy tym temacie, pozwolę pani, że się trochę po-
skarżę. Otóż bardzo mi żal, że z okazji jubileuszu znów za-
pomniano o Wyspiańskim. Przygotowano „Irydioną”, a moż-
na było pokazać choćby jednoaktówkę z bogatej twórczości
Wyspiańskiego. Ale to już sprawa nowego dyrektora Mi-
kołaja Grabowskiego. Bardzo kocham ten teatr i cieszyłbym się
ogromnie, gdyby młody dyrektor, zresztą wychowanek na-
szej szkoły, mój słuchacz i asystent, na jubileusz 100-lecia
pokazał nam jakąś sztukę Wyspiańskiego.

— Dziękuję za rozmowę, nie pozostało mi innego jak życzyć
Panu, Profesorze, doczekania w zdrowiu kolejnego jubileuszu
Teatru im. Juliusza Słowackiego, domu Pańskiego życia.

Rozmawiała: IZABELA PIECZARA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

kiego, S. Jaracza czy samego Osterwy. Zresztą i moje
„znawstwo” teatru ograniczało się wtedy do biernego (choć
z nieprzymuszonej woli dość częstego) uczestnictwa w przed-
stawieniach. Toteż nie bardzo interesowałam się faktem, że
właśnie w r. 1932 Bronisław Dąbrowski uzyskał oficjalny
dyplom reżysera, który przed 29-letnim aktorem otwierał
niejaką najważniejszą rozdział jego życia artystycznego. Co
po piętnastu latach — w tym samym mieście, acz w wyniku
burzliwych wydarzeń wojennych — miało przynieść istną
erupcję inscenizacyjną. Jak wspomina „Na deskach świat
oznaczających”, okres ten — zarówno w jego własnym uję-
ciu realizacyjnym, jak też ze strony współpracujących z tea-
trem reżyserów — przybrał formę „łagodnej rewolucji”. W
rachunku artystycznym Dąbrowskiego (mimo spisaną na
straty pewnych inscenizacji, co bywa przypadłością nawet
największych artystów) dziś można bez zastrzeżenia uznać
tak ogromną przewagę zysków, że wszelkie potknięcia i
omylki stają się zaledwie mało znaczącymi epizodami do-
robku reżysera i dyrektora. Ba, epoka Dąbrowskiego —
uwzględniając zmienne warunki życia teatralnego, społecz-
nego oraz samej techniki budowania widowisk — urasta
do miary niemal wzorcowej. To, czym byli w swoim czasie
wydarzenia sceniczne, firmowane przez Dąbrowskiego,
m. in. Wieszcz Trzech Króli Szekspira, Odczeńśło Łopęgo
de Vegi, Trzy siostry Czechowa, Niemcy Kruczkowskiego,
Lubow Jarowaja Trenlewa, Wyzwolenie Wyspiańskiego
(1957), Przygoda z Walerianem Kruczkowskiego, Jego Eks-
celencja Blazen w Dostojewskiego, Bezmienne dzieło Wit-
kacego, Rzecz listopadowa Brylla — obok Rewizora Gogola
w reż. J. Warneckiego, Meza i żony Fredy (z intermediami
A. Polewki), Urzędu Brezy i Lasu Ostrowskiego w reż. W.
Krzemińskiego, Tragedii optymistycznej Wisniewskiego,
Wesela Wyspiańskiego w reż. L. Zamkow, czy Don Juana
Moliera w reż. B. Korzeniowskiego, nie licząc wielu innych
— w skali teatralnej — odpowiadałoby kolejnym osiągnię-
ciom krakowskim i ogólnopolskim zarazem: Świniarskiego,
Wajdy, Jarockiego, Skusznki, Krasowskiego, Hübnera, Pru-
sa, Grzegorzewskiego, Majora aż po fale najmłodszych insce-
nizatorów z prawdziwego zdarzenia.

Dąbrowski napisał już tyle przy różnych okazjach,
jak np. o półwieczu jego pracy (1921-1971) aktorsko-
reżyserkiej, o 20-leciu dyktowania Teatrowi im.
J. Słowackiego i o licznych wyróżnieniach artystycznych, że
aż mógł się w głowie od rozmaitych i zasłużonych splendo-
rów. Sam też wypisał na tych łamach sporo okoliczno-
ściowych wspomnień, gdy Dąbrowski odchodził na emeryturę
(a coż to za wymysł w odniesieniu do ludzi teatru i twór-
ców, gdzie metrykalne obliczenia tracą w ogóle sens) i póź-
niej, ilekroć jego nazwisko niczym hasło wywołało w po-
wołaniu się na afizku lub poza oficjalnymi anonsami, jako za-
przecczenie rentierskiego brzechu. Tym niemniej znów trze-
ba odnotować JUBILEUSZ. Oto w przeddzień dziewięćdzie-
siąciolecia Teatru, którego jest drugim w powojennych
dziełach Honorowym Dyrektorem (po Karolu Fryczu) — Broni-
sław Dąbrowski obchodził swą „prywatną” rocznicę. Kon-
czy bowiem 80 lat (ur. 11. XI. 1903) pracowitego życia.
A przecież jeszcze w tym roku upełnił 55 lat od de-
biutu reżyserkiego Pana Bronisława w Czapku i B. Hert-
za (Teatr Miejski we Lwowie pod dyr. T. Trzcińskiego —
rok 1928) tuż przed aktorskim angażem do Krakowa. Pierws-
zym z trzech jego teatralnych spotkań pod Wawelem. Nie
mówiąc o z górą 60-letnim dorobku twórczym.

Moje zaś osobiste spotkanie z Dąbrowskim (poza teatrem)
wiązało się ze śródziemnym lat pięćdziesiątych. Wówczas
oficjalnie poznaliśmy się na pomierzeniach rozmów-
kach w Katowicach, dokąd pokazał grupę pisarzy dowoził
autobus, przyszytą ze Śląska przez zapobiegliwego dyrekto-
ra scen im. S. Wyspiańskiego niemal od początków zaado-
rowania się tam B. zespołu lwowskiego, który pod wodzą

MARSZ DĄBROWSKIEGO



swego szefa repatriował się do Zagłębia Śląsko-Dąbrowskie-
go (nomen — omen?). Jednakże nieoficjalną znajomością za-
warłymi w Domu Literatów przy ul. Krupniczej 22. Jak do
tego doszło?

Zylisły w tym naszym literackim kurniku wówczas pra-
wie bez przegród dla poszczególnych stał. Wygodni
towarzysko po okupacji, ciekawie siebie mimo różnic wie-
ku, przekonał, urzędów oraz dawnej przynależności miejsc w
Polsce dzielnicowej. Mieszkańcy stali otworem dla każdego,
bez względu na porę — a, że humory nam dopisywały i
fantazja wedle temperamentów, wymyślaliśmy najrozmaitsze
preteksty do ożywienia i wzbogacenia życia zbiorowego. Do
najbardziej popularnych zabaw należała wtedy gra w teatr.
Być może, było to spowodowane właśnie bunością premier
teatralnych, do czego niewątpliwie przyczyniła się ogromna
różnica artystyczna Dąbrowskiego, kierującego przez jakiś
czas wszystkimi teatrami miejskimi (czyli scenami T. Sło-
wackiego i Starego). A ponieważ większość lokatorów Krup-
niczej 22 nie opuszczała żadnego nowego spektaklu w mies-

cie, zaś kilku kolegów trudno było dramatopisarstwem oraz
pełnić różne funkcje literackie w teatrze — więc inspirować
zainteresowania tym tematem nikt nie musiał. Przeciwnie, to
teatralna kuchnia wręcz zapraszała do przyrządzania pikant-
nych potraw towarzyskich. Bawiliśmy się tylko we własnym
gronie, choć w niektórych rodzinach (np. u Dygato czy
Kwiatkowskich) żony były aktorkami, podobnie jak b. akto-
rem był Jerzy Zawieyski, a spośród zapraszanych z zewnątrz
(Domu) Władek-Krzemiński jako ówczesny członek ZLP —
profesjonalnie zajmował się reżyserią i w parze z małżonką,
Zofią Niwińską tworzył zawodowy klan sceniczny. Jednakże,
w zasadzie, do gry (młby u cioci na imieninach) nie zapra-
szaliśmy ludzi ze środowiska aktorskiego. Zeby nie „psuli” za-
bawy — przeważnie pantomimicznej i parodystycznej — w
odczytywaniu literackiego hasła, złożonego z inscenizowa-
nych, żywych obrazów. Nawet Krzemiński podporządkował
się tym rygorom, chociaż szło mu to strasznie opornie, bo nie
sposób od razu pozbyć się tzw. skazy zawodowej.

I tenże Krzemiński tak zasmakował w naszej grze, iż — ja-
ko że przyjaźnił się z Dąbrowskim — zaprzagnął wciągnąć go
także do zabawy. Protekcyjnie! Zgodziliśmy się, chyba tylko
dlatego, że urzekli nas jego widowiskowe, pełne rozmachu i
wyobraźni, spektakle. Powiadomiony o tym p. Bronisław, nie-
zwykle zresztą zorientowany co to za „teatr”, najpierw zapytał
Krzemińskiego podziwliwie: — u kogo odbędzie się spotkanie?
Tak wypadło, że kolejną sceną miało być moje mieszkanie.
— A czy ten Bober nie pisze przypadkiem dla teatru lub o
teatrze? — zaniepokoił się dyrektor. — Nie, możesz być spoko-
ny Bronieczku — odparł Krzemiński, — nie da ci ani sztuki,
ani cię nie oszmaruje po premierze. — To dobrze. Przyjeżdż.

No i przyszedł. Wizytowo, z butelką „Moskiewskiej” na roz-
grzewkę. Nim się jednak rozgrzał, usłował reżyserować i kre-
ować rolę jakby na prawdziwej scenie. A tu akurat nie ta kon-
wencja i nie z profesjonalizmu... Dopiero po paru łykach okoi-
wity dał się potulnie wpakować na szafę, gdzie miał udawać
Wieszcza z „Wyzwolenia”, lecz dość szybko zasnął — co w tej
„inscenizacji” okazało się grą wręcz genialną. Został przyjęty do
naszego zespołu, ale już nie skorzystał z dalszych propozycji,
ponieważ to nie ja, lecz Zawieyski (u mnie) zaferował mu
swoją, będącą jeszcze w pomysłach, dramata... Ba, gdyby prze-
czuwał, że wkrótce zajmie się recenzowaniem jego przedstawień!
Fakt faktem, iż nie zawsze — później — jemu podobały się mo-
je opinie, zaś mnie — niektóre realizacje sceniczne. Zdecydo-
wanie jednak przeważał szale reżyserki sztuki Dąbrowskiego,
na skutek czego dziś mogę istotnie z sentymentem i uśmie-
chem (pojednawczym) wracać do naszych wspólnych przeżyć
teatralnych. Dzięki niemu u, naturalnie.

Jak widać, nie siłę się na wysmażanie uczonoego szkicu
o aktorze, reżyserze, dyrektora, rektorze PWST obys-
panym wieloma najwyższymi nagrodami artystycznymi i
odznaczeniami państwowymi. Aktora i rektora poznałem
raczej słabo, wybitnego reżysera podziwiał (nie tylko ja) do
chwili obecnej, abowiem co najmniej dziesiątka jego insce-
nizacji wejście na stałe do annałów ojczystego teatru, zwa-
żając jako twórcy pomost między brzegiem doskonałości
akademickiej a brzegami nowatorstwa. O dyrektora zaś
niech świadczy dobor artystów dramatycznych w zespole i
pomocna dłoń umożliwiająca wielu adeptom reżyserii za-
bysniecie na sterowanych przez niego scenach. Ze szczęśli-
wym skutkiem dla TEATRU.

A od nas — starych bywalców teatralnych —
niech Jubilat przyjmie podjęcie na okazie do
zatknięć z Wielką Przygodą Artystyczną i za zachę-
tę do niecodziennych refleksji o życiu w sztuce
„na deskach świat oznaczających”. Do następnych
spotkań, Panie Bronisławie!

JERZY BOBER

...kościół Boga czy czarta?

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

rym wybudowano teatr. To
właśnie Matejko był przeciw
wyburzeniu dawnych pomie-
szczeń Duchaków, czyli za-
budowa kościelnych stojących
przy placu Św. Ducha. Dziś
mistrz Matejko chyba nie ży-
wi już urazy do nowego i pię-
knego teatru.

Architekt, budowniczy Tea-
tru Miejskiego Jan Zawieyski
wręcza klucze gmachu prezy-
denta miasta. Po przeźmo-
wieniu marszałka Galięci,
Eustachego Sanguskiego, dostoj-
ny podpisują akt otwarcia,
który wmurowują za tablicą
pamiątkową. Czytamy na niej
słowa pła S. Tarnowskiego.
A. Asnyka i F. Zolla: „Gmina
miasta Krakowa wsparta po-
mocą Kraju, ofiarowała Karo-
la Krucera, darem Krakow-
skiej Kasy Oszczędności,
Gmach ten wzniesiono podług
planu i pod kierownictwem
budowniczego Jana Zawieys-
kiego, krakowianina, w roku
1893”.

Po czym wygłasza przemo-
wienie dyrektor Teatru Miejs-
kiego Tadeusz Pawlikowski,
składając pokłon w stronę
„godnych pamięci tradycji” i
w kierunku zasłużonego Ko-
żmiana. Patriotyczne słowa
Pawlikowskiego chwyciły za
serce zebranych. „Jeżeli po
słowach naczelników Kraju i
miasta głos tu zabiorę —
rzekł Pawlikowski — to jed-
ynie dlatego, aby z desk tych,
na które oczy całej Polski są
dziś zwrócone, odpowiedzieć
na to wolanie — jesteśmy!”

Wieczór premierowego dnia.
Jeszcze tylko kilkadziesiąt mi-
nut zostało do rozpoczęcia
spektaklu. Tak o tej chwili
napisał Wyspiański:
Gdzieś przed siódmą
wieczorem,
Kościół kościół niezmierzony,
bram teatru ledwo
uchyliłono:
Wielka scena otworono

apelował o wzniesienie „współ-

nym kosztem budynku tea-
tralnego”. Ubogi Kraków, li-
czący wówczas zaledwie
sześćdziesiąt tysięcy miesz-
kańców, choć z klejnotami
polskiej kultury i nauki, nie
stał by na tak wielki wyda-
tek. Walery Rzewuski i Wła-
dysław Ludwik Anczyz z ma-
niakiem uporem walczyli da-
lej. Wydali broszurę pt. „Czy
potrzebny jest teatr w Kra-
kowie?”, w której ci zapale-
ni proponują co następuje:

„...z pożyczki zaciągniętej
przez miasto na budowę wo-
dociągów, wyliczyć 200.000
reńskich na teatr, który w
aktualnych warunkach hierar-
chii potrzeb narodowych jest
na pierwszym miejscu”.

Odzwała ta szymbiel echem
obięła kraj. Dotarła nawet do
Kamienia Podolskiego, skąd
anonimowy ofiarodawca prze-
słał wspaniały dar w postaci
papierów wartościowych opie-
kających na sumę dziewięć-
dziesięciu tysięcy reńskich.
Powodowany względami po-
litycznymi, nazwisko swoje
pozwolił ujawnić dopiero po
śmierci. Hojnym ofiarodawcą
okazał się Karol Kruczer, oby-
watel z Podola. Jego nazwi-
sko uwieczniła tablica wmu-
rowana w dniu otwarcia gma-
chu.

1 sierpnia 1888 roku rozpi-
sano międzynarodowy kon-
kurs na projekt teatru. Za-
granicznie nadeszło siedemnaście
prac, z Krakowa oziery. Ucze-
stnicy mieli niepełną siedem
miesięcy na sporządzenie pro-
jektu. Wysokość pierwszej
nagrody ustalono na 2500 flo-
renów, drugiej 1500, trzeciej
1000 florenów. Stylem prze-
wadającym w nadsyłanych
projektach był eklektycizm. Do-
minowały formy neorenesan-
sowe i neobarokowe. Wpraw-
dzie konkurs na Teatr Miejski
został rozstrzygnięty i przy-
znano nagrody ale... do reali-
zacji nie przystąpiono, gdyż

„między przedłożonymi pro-
jektami nie było ani jednego,
który by wszystkim wymaga-
niom i warunkom programu
odpowiadał”.

Rada Miasta zarządziła roz-
pisanie drugiego konkursu, z
postanowieniem o wzniesieniu
krakowskiego teatru przez ro-
dzimego architekta. Tak więc
do drugiego konkursu zapro-
szono autorów prac wyróż-
nionych i nagrodzonych jed-
nakże tylko z Krakowa. Wła-
dysław Anczyz, który w tym
konkursie zwyciężył, złożył
projekt teatru, który w
głębokość 14 metrów, szer-
okość 20, dziennie oświetlenie
z okien u góry. Wysokość
nadszenia 50 metrów, zaś
długość według uznania projek-
tantów. Widownia 900 do 960
miejsc.

Po kolejnych perypetiach,
targach i sprzeczkach z Ko-
misią Znaców, która palme
pierwzeństwa w budowie
gmachu przyznała projektowi
Stryńskiego i Ekińskiego,
dopiero głos decydujący Rady
Miasta na posiedzeniu 17 sie-
pnia, powierzył tę pracę Ja-
nowi Zawieyskiemu. Stwier-
dzone, iż „projekt pana Za-
wieyskiego pod względem funk-
cji nie ma zastrzeżeń, a pod
względem artystycznym prze-
wyższa inne”.

Jesienią 1890 roku wybu-
rzone resztki starych zabu-
dowań klasztornych przy pla-
cu Św. Ducha i położono fun-
damenty pod przyszły Teatr
Miejski. Zawiazał się Komit-
et Budowy Teatru, w skład
którego weszli m. in. wice-
prezydent miasta Krakowa
Józef Friedlein, Józef Sare,
Konrad Wentzel.

W połowie 1891 roku prasa
krakowska donosiła, iż „...do
budowy teatru zużyto już
przeszło 2000 metrów kubie-
nych kamienia i blisko pół-
miliona cegieł. Tygodniowo na
budowę teatru wychodzi 180
— 200 tysięcy cegieł...”. 2
stycznia 1891 roku położono

IZABELA PIECZARA

LITERACKI NOBEL '83

...w drugiej połowie XX wieku, nie ma nic pewnego, nie ma bezpiecznego, twardego gruntu, na którym można by stanąć; trzeba z własnych wewnętrzności wyłuskać jakąś rację dla siebie.

...nigdy nie zdarzyło mi się przeczytać krytyki moich książek, która choć w połowie oddawałaby ich złożoność. Moja twórczość jest o wiele bardziej skomplikowana niż mogłoby się wydawać. A po trzecie,

ludzie robią z bliźnimi i ze światem, w którym żyją.

...żyję wrodzony szacunek dla pomysłowości genialnych, to znaczy tych wielkich, płonących rzeczy, które wybuchają z wielkiego pisarza, rzeczy, nad którymi geniusz może starać się zapanować, ale na próżno. „Hamlet”, na przykład, i pewne fragmenty Dickensa. Poniżej tego poziomu jest już tylko zwykły pisarz, który tak naprawdę jest stolarzem i robi literackie meble. Krzesło, które się robi, musi

złoty. Niewątpliwie jednym z celów edukacji ostatnich 500 lat jest zastąpienie doświadczenia czytaniem, a więc można powiedzieć, że pisarz kształtuje życie. I czasem się to naprawdę udaje, aczkolwiek możliwości kształtowania życia przez pisarza zmniejszyła się wraz z ograniczeniem kręgu czytelników.

Mój pogląd na życie człowieka w kosmosie jest o wiele wznioślejszy i pogodniejszy niż to, co mam odwagę przedstawić w powieściach. Posługuję się paradoksem: mój pogląd na kosmos jest sprzeczny w kategoriach, których nie można sprzeczyć. Z ludzkiego doświadczenia wynika niezbicie, że w jakikolwiek zwrócimy się stronę, tra-

możemy przekroczyć. A to, że taka granica istnieje, jest tajemnica, która stanowi kres wszystkich tajemnic — to wszystko, co wiemy, i to na przekór światu, które rzucił Newton. Wszędzie świat Newtona, który ciągnął się bez końca, to wieczne potępienie. Teraz już wiemy, że nie miał racji. Teraz już wiemy, że wszędzie natykamy się na kres tego, co nasza ludzka natura potrafi odkryć, opisać lub nawet odczuć, i to wszystko uważam za jakieś bezgraniczne miłosierdzie. Rozumiemy, że stanowimy tajemnicę nie tylko sami w sobie, ale także tkwimy wewnątrz tajemnicy skończonej. Jest to zasada, jaką kieruję się w moim życiu i w tym, co piszę.

Nie potrafię dla siebie znaleźć miejsca w XX wieku

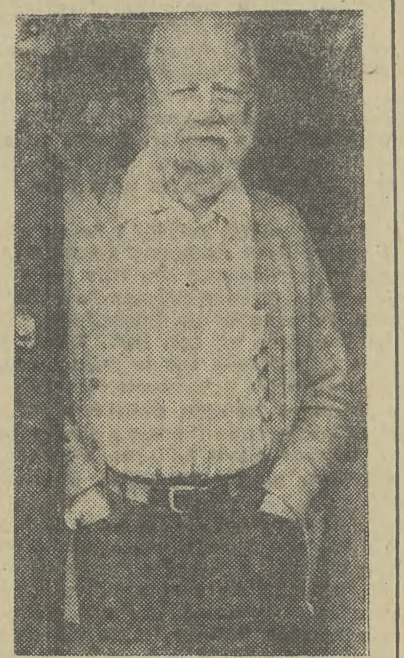
muszę wyznać, że znam wiele rzeczy ciekawszych niż pisanie; uważam na przykład, że muzyka jest bardziej bezpośrednia i emocjonalna w odbiorze niż literatura; bardziej niż pisanie fascynuje mnie gra na pianinie, i od lat boleję nad tym, że tak źle to robię. Umreć nie nauczywszy się grać, ale jestem zapałonym pianistą-amatorem.

— Czy to prawda, że gdy pisał pan swoją pierwszą powieść, „Władę much”, zależało panu przede wszystkim na opowiedzeniu dobrej, żywej historii? Czy też był pan cały czas w pełni świadomy sensu i szerokości odniesień tej książki? A może jedno i drugie?

— Obie te rzeczy na pewno odegrały dużą rolę, ale w tej książce jest także sporo osobistego otwarcia, które w swej naiwności wówczas kontrolowałem, podczas gdy po wienieniu był chyba północ na całość. Myślę, że książka stanowiła coś w rodzaju ucieczki z ponurej Anglii na morza południowe — po której przyszła smutna konstatacja, że nawet, jeśli stworzy się wokół siebie piękne otoczenie, od siebie samego i tak nie można uciec. Celowo umieściłem w książce wszystkie te elaboracje i implikacje, które krytycy zauważyli, i jeszcze kilka innych, których nie zauważono. Czułem, że ta książka zawiera w sobie jakąś potężną siłę wizyjną... Pod koniec, na przykład jest taka scena, gdzie Ralf ucieka od ognia, i rzecz nie w tym, że Ralf jest ścigany, lecz w tym, że cała przyroda ulega zniszczeniu. Ta sprawa była dla mnie tak samo ważna jak sam Ralf: obraz zniszczenia był obrazem zagłady atomowej; wyspa stała się wielką kulą ziemską. Tak, dokładnie tak. Książka mówi o tym, co

Tegoroczna Nagroda Nobla w dziedzinie literatury przypadła Williamowi Goldingowi. Senior angielskich pisarzy, 72-letni autor kilkunastu książek, debiutował późno bo co czterdziestkę. W Polsce przetłumaczono trzy jego powieści: „Władę much” (zaktualizowana w latach sześćdziesiątych przez Petera Brooka, była u nas oglądana), „Wieżę” (1966) i „Siła bezwładności” (1970).

Miesiąc „Literatura na Świecie” w 1981 roku (w numerze sierpniowym) zaprezentował polskiemu czytelnikowi bardzo obszerne dossier Goldinga. Eseiowi na temat jego twórczości towarzyszyły dwa jego najnowsze opowiadania oraz przedruk wywiadu, jakiego brytyjski powieściopisarz udzielił miesięcznikowi „Quarto”. W listopadzie 1988 r. Władysław ten wywiad jest źródłem, z którego czerpię przygotowując ten skromny wybór opowiadań W. Goldinga o współczesnym świecie i jego własnym życiowo-literackim kosmosie.



mieć cztery nogi równej długości, żeby można było na nim uisnąć i zapomnieć o tym, że siedi się na przedmiocie skonstruowanym. Pisarz panuje i jednocześnie nie panuje nad swym materiałem.

Najlepszym krytykiem jest chyba przeciętny czytelnik, którego interesuje tylko to, do jakiego stopnia dzieło pisarza jest w stanie go pochłonąć.

...nasza wiedza o życiu opiera się w większym stopniu na tym, co przeczytaliśmy, niż na tym, co prze-

żyliśmy. Niewątpliwie jednym z celów edukacji ostatnich 500 lat jest zastąpienie doświadczenia czytaniem, a więc można powiedzieć, że pisarz kształtuje życie. I czasem się to naprawdę udaje, aczkolwiek możliwości kształtowania życia przez pisarza zmniejszyła się wraz z ograniczeniem kręgu czytelników.

Może dlatego, że kochanie się jest czynnością zbyt intymną i łagodną, by ją opisać... czynnością nadto zdrową i naturalną, by znaleźć na nią miejsce w powieściach, które muszą opierać się na jakimś konflikcie. Wiem i wierzę, że kochanie się może być uniemożliwieniem, lecz wiem także, że może być destruktywnym: wykorzystywaniem drugiej osoby Wychodząc ze spełnienia i uniesienia nie można napisać opowieści — można napisać koniec opowieści. Nie ma żadnej opowieści o szczęśliwym życiu; jest tylko szczęśliwe życie. Szczęśliwy jest kraj, który nie ma historii, szczęśliwe jest życie, w którym nie prowadzi się sumiennego zapisu upływającego czasu ani tego, co kto jest komu winien. Ale z tego nie można zrobić powieści. Myślę, że szczęście jest osiągalne. Przypomniał mi to uwaga Johnsona o wolności: wszelkie argumenty są przeciw, wszelkie doświadczenia są za. Wszyscy wiemy, czym jest szczęście, wszyscy go doznaliśmy. Kiedy szczęście przechodzi w zadowolenie, to już koniec opowieści, a nie początek.

...przypuszczam, że kwestia dobra i zła, lub tego, jak żyć w społeczeństwie nie wykorzystując innych, jest ważniejsza niż wszystkie inne.

Ja nie potrafię znaleźć dla siebie miejsca w XX wieku. Jest to naprawdę miejsce, w którym człowiek nie może się odnaleźć. Gdy oblatuje mnie strach, rzucam się do piśnia powieści, której źródła sięgają bliżej znanej mi epoki. A jak nie, zakasuję rękawy i piszę o życiu, jakie jest.

Oprac. H. K.

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

Sytuacja jest poniekąd katastrofalna i stale się pogarsza. Może, choć będąc z natury przekornym, nie przyjmuję na wiarę żadnych prawd, głoszących przez autorzytety o naukowych czy jakichkolwiek innych tytułach do nieomyślności. Równie daleki jestem od wiary w słuszność porzekadła „voz populi, vox Dei” (tłumacząc na użytek znających już tylko niehoracjaną łacinę młodych: „głos ludu, tj. większość jest głosem Boga”); lecz po co ja, biedny przywołalem ducha Horacego! Chyba dla popadnięcia w kolejne wątpliwości, jako że używał on czasem słów bliższych współczesnej, ulicznej łacinie, niż „Zywuotom Świętych”.

Nie wierzę zatem w prawdę głoszącą obecność Boga po stronie większości od chwili zestawienia owego przysłowia z głosem tłumy, wyjącego „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj Chrystusa a wypuść Barabasa!” i paru jeszcze innymi faktami, podany mi przez obiektywną (!?) historię. Piszę zaś o tym z okazji działań plastycznych Stefana Pappa, niespokojnego, lecz jednocześnie — a może tym samym — dobrego ducha naszej sztuki, które to działania, gdy znane już będą ich wyniki, a ja sam niewątpliwie znów trochę się rozwinę (no bo, proszę Państwa, czemuż walczyć miąłbym być wyjątkowy z głoszonego przez ów masowego przekazu „dalszego rozwoju?”), dokładnie omówię, bo warto.

Obecnie starczy powiedzieć, że Pappowi idzie — jak zresztą zawsze i to od wielu lat — o ścisły związek sztuki z życiem tj. nami i płynące stąd dla ogółu niewątpliwe korzyści. Jemu zaś ujam bo wiem skądinąd, że sztuka zdolna jest czynić cuda aż do zmiany ludzkiej natury łącznie. (Tu kolejna dygresja, tym razem skierowana do garstki oponentów, zdolnych niepodważalnymi dowa-

dami wykazać pewną niedoskonałość ludzi zawo- dowa parających się sztuką: a czy szanowana opozycja wie, jacy by oni byli na co dzień sztuką się nie zajmując?)

Kto jednak i kiedy wyżyłby przepaść, dzielącą dziś sztukę od społeczeństwa? Ano właśnie. Nie słyszałem o jej istnieniu w dzieciństwie, ani na-

Przepaść

studiach nawet, zatem wówczas, gdy istnienie sztuki wokół siebie uważałem za rzecz naturalną i dla swojej naturalności właśnie niedostrzegając. Sztuka, to jest piękno, po prostu było, i tyle.

Ze coś z nią nie tak, uświadomił mi dopiero hasło używane do popularizacji sztuki i zrodzone z niego tłum popularizatorów różnej maści i kalibru, do których całkiem bezwiednie dołączyłem, bądź też mnie dołącono. Może to zatem właśnie hasło i jego nosiciele wykopały chylkiem ową przepaść choćby dla możliwości jej nabełwonienia? Może. Nie takie rzeczy już w swoim życiu widziałem i zapewne jeszcze zobaczę. Siegnijmy jednak w bezpieczną przeszłość, czyli wieki bogatej symboliki sztuki i życia. Najlepiej do starożytnych Greków, i tych, którzy JUŻ, czyli Rzymian.

Już zatem starożytni Rzymianie znali moc sztuki i na swój sposób ją wykorzystywali, budując w podbitych prowincjach, choć również w swojej stolicy, gmachy rzucające tłum na kolana przed polegą cesarstwa i obstawiające wszystkie możliwe miejsca posągami boskich władców. Właśnie tam też, na pysznych forach i w bogatych termach, lud stykał się ze sztuką pisaną z wielkiej litery. Nie inaczej było w renesansie i baroku i

całkiem już nowożytnych imperiach, czyli wszędzie, gdzie założono programową wyższość państwa nad jednostką.

Nie mniej równoległe do oficjalnej sztuki biegł jej nurt drugi i trzeci, podobny w kształcie zewnętrzny, choć całkowicie różny w treści, czyli do założeń ideowych. Nurt sztuki dla ludzi. Cichej i radosnej, tej od małego dzwonu, na pewno mniej uspaniałej i może gorszej, bo nie słyszano się jakoś, by mieszkańcy Zatybrza (czytaj — starożytnego ośiedla, czyli blokowiska na peryferiach Rzymu) zrobili swe mieszkanie oryginalnymi Fidiaszami.

I tak to już jakoś szło przez stulecia i tysiąclecia: władcy świeccy i duchowni mieli swoją sztukę dla swoich celów i potrzeb, ludzie bogaci i zamożni swoją, a biedacy swoją, co zresztą podawała w pewnym stopniu mit o powszechności daunych, wielkich stylów, bo tak naprawdę styl, i owsem, był, lecz jego zwarstwienie wiodło do różnic dzielących — przykładowo rzecz biorąc — ściany pokryte kudybanem czy gobelinami od ścian zawieszonych kilimami lub krytych szablono- nową malaturą, czy oryginalnego Rubensa od drzeworytniczej odbitki jarmarczkiego obrazka.

Tak też, kłując po wiekach, dochodzimy zwolna do meritum sprawy: przepaści w ostatnich latach nikt nie wykopał, gdyż istniała ona zawsze i zapewne długo istnieć jeszcze będzie. Świećta natomiast działalność Pappa nie chce przywrócić dawnego układu poprzez jej żmudne zasympawanie. Jemu, jak każdemu idealistce, marzy się coś innego i nowego zarazem: to, by jedna, dobra i powszechna sztuka weszła w jedno społeczeństwo.

Marzenia świętej głoty? Być może, choć coś mi się wydaje, że właśnie one mają w naszym, ponoć racjonalistycznym kraju, największe szanse powodzenia.

JERZY MADEYSKI

ALEKSANDER KRAWCZUK



Gdy o nim myślę, rodzi się w moim sercu uczucie pewnego zadowolenia, że Galicja za moich czasów miała takich ludzi. Patriotyzmu, energii, zapału, dobrej woli, szlachetności było w tym człowieku w bród. Z syna ubogiego księdza ruskiego, z małego adwokata w Krakowie wyniósł się własnymi zasługami na burmistrza Krakowa i na marszałka Galicji... Był z usposobienia trochę autokratą, ale autokratą tam, gdzie chodziło o przeprowadzenie czegoś dobrego, pozytywnego. Na jakimkolwiek był stanowisku, zawsze działał energicznie, śmiało i jak umiał najlepiej... Tak pisze w swych „Pamiętnikach” KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI. Charakterystyka to w zasadzie trafna, choć pewien szczegół biograficzny wymaga sprostowania: Zyblikiewicz był synem nie księdza ruskiego, lecz kuśnierza w małej miejscowości pod Samborem. Ochrzczony w cerkwi greckokatolickiej pozostał wier- ny temu obrządkowi do końca życia i mawiał o sobie, że jest „gente Ruthenus, natione Polonus” — z rodu Rusin, z narodowości Polak. Zawsze też pielęgnował więzy rodzinne i w swoich stronach spędzał święta.

Mikołaj Zyblikiewicz

Do gimnazjum uczęszczał najpierw w Samborze, potem we Lwowie, gdzie studiował na Wydziale Filozoficznym tamtejszego uniwersytetu do r. 1846. W okresie Wiosny Ludów działał w patriotycznych organizacjach polskich. W r. 1848 został pomocnikiem nauczyciela w gimnazjum tarnowskim, ale musiał pojechać się z tą pracą już po dziesięciu miesiącach, nauczał bowiem na podstawie podręczników polskich — przestępstwo w latach powrotu fali germanizacyjnej. Przeniósł się więc do Krakowa, gdzie w latach 1849—51 złożył odpowiednie egzaminy i uzyskał doktorat praw na podstawie rozprawy z zakresu prawa cywilnego. Promocji dokonał A. Z. Helcel w dniu 9 października r. 1851, a ceremonią upamiętnił się, jak podaje M. Estreicherówna, profesorem bowiem po raz pierwszy przywdział wtedy togi, „a młody, niepospolicie zdolny doktor obijał praw wygłosił nawet mowę dziękczynną”. Toteż godzi się, by o tej promocji pamiętali wszyscy dostępujący tegoż zaszczytu w Uniwersytecie Jagiellońskim!

Po okresie praktyki u innych w Krakowie i Lwowie otworzył Zyblikiewicz własną kancelarię w r. 1855 przy ul. Kopernika 14. Ry- chło zdobył klientelę nawet arystokratyczną, m.in. Adama Potockiego. Był na pewno do- brym adwokatem, choć Stanisław Mieroszewski, którego interesy majątkowe prowadził, wystawia mu jak najgorsze świadectwo: „Zajmował się wszystkim prócz sprawami swych klientów... Porobił szkody ogromne. Tylko szalone rachunki pisać umiał”. Ale każdy klient, jak wiadomo, chce zawsze być stroną wygry- wającą.

Faktem jest, że polityka wciągała Zyblikiewicza coraz mocniej. Związał się z konserwatystami krakowskimi, ugodowy- mi wobec Wiednia, ale uparcie walczył o autonomię dla Galicji. Swoje boje rozpoczął od starań o utrzymanie języka polskiego w sądownictwie oraz o przywrócenie go jako wykładowego w uniwersytetach. W r. 1861 wybrany został posłem na sejm galicyjski, a potem do Rady Państwa w Wiedniu, gdzie jego świetne wystąpienia, godzące zwa- szcza w biurokracizm i tendencje centralistyczne, zwracały powszechną uwagę. Gdy narastała fala przedpowstańcowych spisków i przygotowań, opowiadał się za polityką Wielopolskiego, jako i realną, i rokującą odrodzenie kraju. Kiedy jednak powstanie wybuchło, należało do stronnictwa białych działających w wia- dach powstańczych na terenie Galicji; nie szczędził też pieniędzy na cele narodowe. Zbiegał o uwolnienie dyktatora Langiewicza po jego internowaniu przez Austriaków, a jako poseł piętnował ostro wszelkie represje.

W latach następnych podczas skomplikowa- nych walk politycznych w parlamencie wiedeńskim i w Galicji lawirował, nie zawsze zresztą szczęśliwie, miał jednak i poważne osiągnięcia: przyczynił się do polonizacji Uni- wersytetu Lwowskiego i Politechniki oraz do założenia Akademii Umiejętności.

W czerwcu roku 1874 został wybrany — nie- wielką większością głosów — prezydentem Krakowa po J. Dietlu, który złożył rezygnację. W sprawach miasta orientował się do- brze jako wieloletni członek jego Rady i syn- dyk, czyli jakby radca prawny. Był prezy- dentem prasy lat 6, do r. 1880, zapisując się w dziejach naszego miasta jako jeden z naj- bardziej zasłużonych — obok swego poprzed- nika Dietla i jednego z następów, Juliusza Lea. W swej mowie programowej i później podkreślał: „Mnie nie o nowych już projek- tach, ale o tym myśle należy, aby przynaj- mniej część już uchwalonych co najrychlejsz- u-rzeczywistnić”. Chodziło zwłaszcza o realiza- cję tego, co zamierzał Dietl. Tego podjął się Zyblikiewicz i to dzieło doprowadził niemal do końca; rzecz zawsze najtrudniejsza w na- szym kraju, w którym rolę się od świętych zamysłów, planów, programów — pozosta- jących na papierze.

Co Kraków zawdzięcza Zyblikiewiczowi? Bardzo, bardzo dużo, a z owoców jego pracy korzystamy do dziś, często nie zdając sobie z tego sprawy. Najpierw uspra- wnił działalność magistratu i poprawił politykę finansową, co oczywiście nie przysporzyło mu sympatii wśród podwładnych. Powiada Mie- roszewski: „Energia jego to szalone popędi- wienie i impertynencja, którymi sobie cały świat rządzi. Nie cierpieli go urzędnicy miej- scy, a i mieszczanie nie bardzo za nim prze-

padali”. Nastąpiła gwałtowna rozbudowa mia- sta. Wzniesiono wiele kamienic, kilka szkół, gmach dzisiejszej Akademii Sztuk Pięknych na Kleparzu. Dokonano restauracji i przebu- dowy Sukiennic według planów Pryliskiiego, nadając im ten kształt, w jakim znamy je o- becnie; wywołało to oczywiście, jak zawsze w Krakowie, falę namiętności i ataków na prezydenta. Przy sposobności uporządkowano też Rynek. Stanęła rzeźnia miejska na Grze- górkach i koszar Straży Pożarnej; obie bu- dowlę wciąż jeszcze spełniają swą rolę. Pow- stały koszarzy przy ul. Warszawskiej, dzisiej-

Komentarz RAKOWICKI-PROBA PRZEWODNIKA

szu Politechniki. Poprowadzono w tamtym rejonie wiadukt nad torami kolejowymi, za- projektowano wiadukt nad ulicą Lubicz. Roz- poczęto zasypywanie koryta Starej Wisły, gdzie obecnie Pasy Pasy Dietlowskie. Oczyszczono ka- nały, skanalizowano od nowa niektóre dzie- linie, zwłaszcza Kazimierz. Położono trwałą nawierzchnię na wielu ulicach i placach. U- porządkowano numerację domów i nazwy ulic, a także planty.

Właśnie za tej prezydentury Kraków zaczął stawać się stolicą polskiej kultury. Wspomnia- no już o utworzeniu Akademii Umiejętności i Szkoły (Akademii) Sztuk Pięknych. Założono Muzeum Czartoryskich i Muzeum Narodowe. Zorganizowano wielki jubileusz Kraszewskie- go, odbyły się uroczystości związane z cze- rechstną rocznicą śmierci Jana Długosza: przeniesiono jego prochę z kościoła do krypty zasłużonych, która wtedy zaczęła spełniać wła- śnie tę rolę; zwolano też i zjazd historyków polskich. Powstał wreszcie komitet budowy pomnika Mickiewicza. A nie jest to jeszcze pełna lista tych z rozmachem organizowanych uroczystości, które ogromnie się przyczyniły do budzenia świadomości narodowej, a któ- rych inicjatorów lub przynajmniej współtwór- cą był Zyblikiewicz.

Ale — ultraolajny wobec monarchii i swych



przyjaciół stańczyków — prezydent popełniał też poważne błędy polityczne. Gdy szewc Mar- kiewicz wywiesił bez zgody władz patriotyczny transparent na cmentarzu przy pomniku- mogile powstańców r. 1863, został na kilka godzin zatrzymany przez policję — a potem prezydent przeprosił szewca i spowodował, że obstarlowano u niego buty dla strażaków. Gdy student medycyny Wołowski ogłosił zło- śliwe wierszyki w satyrycznym piśmie „Har- rap”, urażony do żywego Zyblikiewicz dopro- wadził do tego, że Wołowski, rodem z Kon- gresówki, został ostatecznie wydany z granic monarchii i osiadł w Monachium, co wy- wołało burzę protestów. Natomiast nie miał prezydent nic wspólnego, to też trzeba pod- kreślić, z pierwszym procesem przeciw socia- listom, Waryńskiemu i jego towarzyszom, który odbył się w Krakowie w r. 1880 i zakończył się wyrokiem uniewinniającym wszystkich.

Latem roku 1880 Zyblikiewicz, powtórnie wybrany prezydentem, wystąpił z projektem, aby Wawel uczynić rezydencją cesarza pod- czas jego pobytu w Galicji; oznaczałoby to w praktyce odbudowę zamku zajmowanego przez wojsko. Gdy cesarz we wrześniu przy- był do Krakowa — wjazd obrażają dwie ak- tware J. Kossaka, na których widnieje też Zyblikiewicz w pierwszym planie — w strachu staropolskim, o barwach niebieskich i białych, miejskich — przedstawiono mu obojęt- nej przyjęcie prezydent ogłosił tłumom na Ryńku ku ogromnemu entuzjazmowi.

Przebieg wizyty wywarł na cesarzu tak dobre wrażenie, że w styczniu r. 1881 po- wierzono Zyblikiewiczowi godność mar- szalka sejmiku galicyjskiego. Musiał zrezygno- wać z prezydentury; objął ją dr Ferdynand Weigel. Na nowym stanowisku położył Zybli- kiewicz również wielkie zasługi, pomagając organizować Macierz Polską, działając na rzecz rozwoju szkolnictwa i przemysłowienia kra- ju. Interesował się nadal sprawami Krakowa. Tutaj też powrócił w r. 1886, gdy skutkiem za- targów z namiestnikiem Zaleskim złożył łaskę marszałkowską.

Nigdy nie założył rodziny, choć jak powi- ada Chłędowski, „ogniste serce Zybka, jak go powszechnie nazywano, gorzało co chwilę do jakiejś ładnej kobiety. Najczęściej mówiono o jego afektach do pani Natanson, młodej wdow- ury, pięknej warszawianki, która koniecznie chciała zostać burmistrzową krakowską. Roz- bił się za nią po Szczecynie, po Warszawie... ale zenić się jakoś nie miał ochoty”. Nie ro- bił też majątku; zresztą dużo pomagał ubogiej rodzinie. Zamieszkał w Krakowie w domu XX Pijarów przy ul. Pijarskiej; zmarł tam 16 ma- ja r. 1887 skutkiem zapalenia płu- c.

Pogrzeb był uroczysty. Wzniesiono okazały grobowiec w kształcie obelisku na środku al- lejki pierwszej na prawo za grobem Matejki. Na skwerze przed magistratem stanęło jego popiersie z brązu. Jedną z ulic, obecnie noszą- cą nazwę Bitwy pod Lefino, otrzymał jego imię. Dziś grobowiec wymaga szybkiego ratu- nku; wypadają nawet cegły z postumentu. Popiersie Zyblikiewicza usunęto, podobno jest w restauracji; powinno jak najszybciej znowu zdołać jeden z placów miasta, które Zybli- kiewicz tak ukochał i dla którego tyle zrobił. Także któraś z ważniejszych ulic winna nosić jego imię. I wreszcie należałoby wznowić zna- komitą książkę IRENY HOMOLI „Kraków za prezydentury Zyblikiewicza”, by każdy kra- kowianin mógł się przekonać, ile temu czło- wiekowi zawdzięczamy.

KSIĄŻKI

Największy paradoks, a faktem w czasach współczesnych przy- szło szamać się ludzkiemu zdrowemu rozsądkowi, polega na fakcie, iż psychiczna zdolność czło- wieka do nihilizacji obróciła się przeciwko samej świadomości — ro- dzicielce, przeciwko samej świadomo- ści-stworczyń. Stłuszy się bo- wiem często, że należy zgasić to słońce świadomości, że świadomość nie istnieje, że to tylko konstruk- cja słowna, za którą nie stoi żad- na rzeczywistość.

Nie pierwszy to przypadek — pi- sze dalej profesor JAN TRABKA we wstępie do swojej najnowszej pracy naukowej „MÓZG A ŚWIA- DOMOŚĆ” — w historii ludzkiej intelektualnej ekwilibrytyki, iż wyrodne dzieci pożerają swych ro- dziców. Wystarczy wspomnieć nie- wędziącą córkę-astronomię, która przekreśliła życie swego matki-astro- logii. Świadomość, chociaż jasnie oświecona i — zdawałoby się — wszechmocna, nie przewidywała za- dnych środków, które mogłyby oca- lić ją samą przed zgubą i zatrace- niem (...)

Jedynymi, wiernymi od wszech- czasów, zwolennikami świadomości okazali się lekarze kliniczni. Nie dlatego, że mogą — na równi z in- nymi — cieszyć się słońcem świadomości, nie dlatego, że uważają siebie za jedynych i najbardziej kompetentnych ekspertów od świadomości — ale prawdopodobnie dla- tego, że im jedynym przypadła w udziale najbardziej odpowiedzialna troska o to słońce w chmurach je- go poważnego zagrożenia w życiu indywidualnego człowieka. Lekarz nie interweniuje wtedy, gdy w za- dymie filozoficznych dysput dochodzi do załamania tego słońca (tu same słowa nie mają zbyt wielkiej

destrukcyjnej mocy), ale wtedy, gdy światłość — jakby nagłym potrymem wichru — zostaje przez proces chorobowy zgazona lub gdy doporywa jak powoli wypalająca się lampka naftowa. Oddziały real- nymyżne szpitali i klinik, w któ- rych ratuje się chorych nieprzy- tomnych są największymi i naj-

Nie sposób przybliżyć czytelniko- wi treści książki, zaprezentować choćby skrótem poglądów autora — bez odwoływania się do całego ar- senału wiedzy fachowej czy wresz- cie specyficznej terminologii. Nie mamy jednak zamiaru renowować czy oceniać książki, bowiem jedyn- łaświowe forum dla tego rodzaju

opracowań są dyskusji stanowią- mogą czasopisma fachowe.

Warto jednakże wiedzieć, że pre- zentowana książka jest niezwykle ważkim, polskim (krakowskim) gło- sem w toczącej się od lat w świe- cie naukowym dyskusji na temat re- lacji między świadomością a móz- giem.

Praca profesora Trabki została je- szcze w 1976 roku zaproponowa- na PZWL w Warszawie, by dopiero sześć lat później móc ukazać się na- kładem... Wydawnictwa Literackie- go Wielka to zresztą szkoda, bo- wiem już w roku 1977 pojawiła się publikacja autorstwa bodaj najbar- dziej lojalnych osób na świecie auto- rzytetów naukowych, zajmujących się problematyką stosunku świadomo- ści do mózgu: — Sir Karla R. Poppersa i Sir Johna C. Ecclesa — zaktualizowana „The self and its brain”. Ostatnie miesiące przyniosły kolejną pozycję — „Cybernetyka w naukach humanistycznych” B. Biri- ukowa i J. S. Gellera. (Ossolineum, 1983), poświęconą problematyce świa- domości w aspekcie cybernetyce-

Medyczna strategia walki o świadomość

